Tom VI. Nr. 4.

1. Lutego. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ŚWIĘTY BŁAŻEJ,

BISKUP I MĘCZENNIK.

Męczeństwo świętego Błażeja biskupa, stało się dwieście dziewięćdziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa Pana. W on czas cesarze rzymscy całemu prawie panowali światu; podbiwszy jako poganie mieczem obce narody, trzymali je w poddaństwie i okrutnej niewoli. W każdym podbitym kraju siedział starosta, któremu dawali dużo wojska, aby daniny od narodu i wszystkie bogactwa krajowe łatwo zabierać i na dwór cesarski przysełać mógł. To też owi pogańscy cesarze i wszyscy starostowie i urzędnicy ich, mając tyle skarbów ze wszystkich ziem świata wydartych, puścili się na rozpustę i zbrodnie wielkie. A już wtenczas nauka naszego Zbawiciela, nakazująca miłować a nie gnębić bliźniego, poczęła się krzewić szeroko między narodami, niosąc im osłodę w cierpieniach na ziemi i wieczne życie po śmierci. Usłyszawszy cesarze i starostowie ich o tej nauce miłości, zatrwożyli się bardzo mówiąc:

— Oto miłość rodzi cnoty w ludziach; jeżeli chcemy jak dawniej rządzić i panować, nie dozwólmy być ludziom cnotliwymi.

Więc poczęli okrutnie prześladować i męczyć pierwszych chrześcijan.

I stało się, że pewien starosta cesarski imieniem Agrykolaus, słynął z okrucieństwa w mieście zwącem się Sebasta, gdzie w on czas Błażej święty urząd biskupa sprawował. Zatem wielu chrześcijan domy i majętności opuściwszy, ukrywało się w górach i lasach, gdzie jagodami i korzonkami żyjąc, głód wielki cierpieć woleli, niżeliby w mękach ciężkich, któremi wiernych tak okrutnie katowano, Pana się swego zaprzeć i zbawienie utracić mieli. A tak gdy jedni już męczeńską śmiercią poginęli, a drudzy na wygnaniu nędzne życie wiedli, i w mieście onem chrześcijan więcej nie było, Błażej święty ostatni udał się za trzodą swą na pustynię i tam w jaskini ciemnej, długie lata samotnie i świątobliwie pędził.

Ale starosta ów, gorliwy sługa cesarski w zaciekłości swej chcąc do szczętu chrześcijan wygubić, wysłał razu pewnego żołnierzy w góry, aby wszystkich pobożnie na pustyni żyjących łapali. Ci okrutni myśliwi wielu chrześcijan pojmawszy, dali dzikim zwierzętom na pożarcie, a Błażeja świętego biskupa przed starostę przywiedli. Widząc mąż święty, iż wola Boża jest, aby jako kapłan Pana Jezusa naśladując, ze krwi swej ofiarę uczynił, uradował się bardzo i idąc chwalił głośno Pana Boga, że go na męczeństwo wzywać raczy, tak iż się żołnierze i posługacze urzędowi dziwili. Co widząc ludzie, drogę świętemu zastępowali prosząc o błogosławieństwo, którego on wszystkim udzielał upominając, aby się tem srogiem prześladowaniem od wiary świętej odstraszyć nie dali.

Stawiony przed starostę, gdy mężnie imię Pana swego głosił i wyznawał, najprzód go ten starosta Agrykolaus biczmi bić kazał, mówiąc:

— Pokłoń się bogom, każe cesarz.

A Błażej święty mówił:

— Niemy a głuchy człowiecze, czemu się twoim kamieniom kłaniać mam; bogów twoich nie znam, jeno jednego

Pana mego Jezusa; mniemasz abyś mnie takiem biciem ustraszyć miał?

Zbitego srodze wsadzono do więzienia, a gdy dnia drugiego starosta go upominał aby wolę cesarską uczynił, Błażej święty rzekł:

— Czynię wolę Pana cesarzów wszystkich, nieśmiertelnego Boga mego, a twemi bałwanami się brzydzę.

Więc kazał go drugi raz na palu zawiesić i żelazami kaleczyć. A święty mówił:

— Nigdy mnie takiem katowaniem od Pana mego nie odłączysz; jeszcze ich więcej wymyślaj, czyń co chcesz z ciałem mojem, a niechaj tobie i cesarzowi Pan Bóg przebaczy.

Kazał go tedy okrutny starosta zdjąć i do więzienia zanieść, na dalsze zachowując męki.

W tem ujrzano, że siedm wiernych niewiast zbierają z ziemi krew świętego biskupa; poczem się wydały, że były chrześcijanki. I wnet je porwano i grożąc śmiercią namawiano, aby ofiary bogom czyniły. A one rzekły:

— Niechaj starosta każe bogi swoje w wór zawiązać i zanieść nad jezioro, a my umywszy się wodą tego jeziora, pokłonimy się im.

Był temu rad starosta i kazał tak uczynić. A one wziąwszy ten wór z bałwanami, wrzuciły w wodę na głębinę i utopiły.

Więc za to wszystkie poprzód ogniem palone, wśród mąk okrutnych pościnano.

A jedna z nich dwoje dziateczek drobnych miała, które matki odstąpić nie chciały, prosząc się także na śmierć. Ale ich teraz nie zabito, jeno do więzienia do świętego Błażeja dano, który te dziatki małe w wierze utwierdziwszy, spokojnie z niemi czekał chwili, w której się do Pana swego udać będzie mógł.

A oto niedługo dał mu czekać starosta, bo wnet wywiódłszy z więzienia, kusił go jeszcze prosząc i grożąc, a gdy widział, iż nic uczynić nie potrafi, wydał rozkaz aby ścięty był.

I szedł Błażej święty na śmierć z jasną twarzą jako anioł Boży, a onych dziateczek dwoje szło także za nim, które on

ujrzawszy wziął za ręce, i tak te dzieci z nim pospołu śmierć męczeńską odniosły.

Chwalmy Boga w jego prorokach i męczennikach, chwalmy go i w tym wielkim męczenniku Błażeju świętym, którego pamięć na dzień 3go lutego co roku wypada, a prośmy go niech się on tam w niebie wraz z innemi świętemi za nas biednych modli.

Śpiewka furmana,

której Wojciech z pod Opatowca trochę od innych się nauczył, a trochę sam wymyślił, a którą Ignacemu Ślusarczykowi na pamiątkę posyła.

Wszystkich to ciekawość budzi,
Kto jest najszczęśliwszym z ludzi?
A ja mówię że ze stanów
Najszczęśliwszy stan furmanów.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Czy karetą czyli biedą,
Furmanowi konie idą;
Gdy z boku pełna maźnica,
Nie masz pana jak woźnica.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Czy to z góry, czy pod górę
Równo szkapy ciągną furę;
Bo jej się nie przeładuje,
Koniom owsa dosypuje.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Tych co w karczmie czas marnują,
Gospodarstwa zaniedbują,
Zaprzęgnę zaraz do brony,
I będę włóczył zagony.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Hej zaprzęgaj, ładuj bryki,
I bierz wszystkie swawolniki,

Co w lenistwie żyją marnie —
A niechże ich bies zagarnie!
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Tyth, co braci nie kochają
I krew naszą przelewają:
Wezmę także na me bryki
I wywalę gdzie do rzeki.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Danaż moja, dana dana,
Nie godzien nazwy furmana,
Kto co karczma wódkę pije,
I pijany konie bije.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio! —

Sztuką, wilki tłuką.

Któż dziś opisać zdoła, ile to nasza Ziemia ucierpiała pod niewolą szwedzką za panowania króla Jana Kaźmierza? Któżby dziś powiedział o liczbie wymordowanego ludu, któżby dziś policzył gorzkie łzy niewieście i strugi krwi niewinnej przez wroga wylanej? O, zaprawdę, nie policzyć gwiazd na niebie ani piasku w morzu, i nie policzyć czystych łez niewieścich i krwi niewinnie podonczas przelanej, bo te łzy zasiałyby niebo jasnością, a krew ta piasek morski by przesiąkła! Ale przecież jak wszystkie klęski i utrapienia, tak skończyło się i to panowanie Szweda, bo Pan Jezus dał wprawdzie każdemu człowiekowi cierpliwość do znoszenia krzywd i nieprawości, i sam nauczył swą śmiercią jak wrogom przebaczać należy: lecz dał też siłę i chytrość ludziom, aby wspomagali bliźniego w złej chwili, aby go zasłaniali od szatańskiej przewrotności nieprzyjaciół, aby bronili wszystkiemi siłami ojczystej ziemi, własności narodu i dzieci swoich, od ciężkiej wroga niewoli.

Było to w zimie, lat temu dwieście, bo z końcem roku 1655, a w ziemi Wielkopolskiej i sześć mil od Poznania. Miasta i wsie były smutne, jakby pomorkiem wyludnione, bo łu-

piezkie wojska Szweda przeciągały niby stado wilków po całej polskiej Ziemi, a wreszcie ponura i mroźna zima zapędzała ludzi do chat i do ognia, gdzie choć popłakać można było nad własną niedolą. Więc i we wiosce, tuż pod miastem Kościanem położonej, pusto było i głucho, bo wiatr mroźny hulał sobie po polach, a Szwed niedowiarek panował na Kościańskim zamku. Wieczór zapadł; w chatach gdzie niegdzie widać światło z maleńkich okienek bijące i nigdzie żywego ducha, tylko Bartłomiej stoi na podwórku swojego obejścia, zdejmuje koła z wozu i osie mazią smaruje; znać trzeba mu go w drogę, do lasu czy do miasta.

Nie stary to człowiek, ale też i nie dzisiejszy, nasz Bartłomiej. Zmarszczki pracy i trosków popisały mu czoło w różne kreski i znaki, głowa od przodu wyłysiała, a resztę włosów przyprószył rzadki szron siwizny. Smutek rozlany po całej twarzy, dodawał Bartoszowi jeszcze więcej powagi, i czynił go starszym niż był rzeczywiście.

Posmarował oś, zasadził i obrócił koło, a podnosząc głowę do góry westchnął Bartosz głęboko.

— Nie dość, że rabują i drą ze skóry — mruknął półgłosem — ale się jeszcze chylać człowiek musi i pracować dla tych niedowiarków! Ho, ho, niedoczekanie wasze, żeście nam naszą Ziemię najechali, bo ona wam jeszcze kością w gardle stanie!

I zdejmował inne koła, smarował i oglądał. Cicho było na świecie a gwieździsto na niebie, więc każde westchnienie Bartłomieja odbijało się o gwiazdy i o miesiąc, i zapisywał je tam biały Anioł do księgi niewinnie cierpiących, a łzy mu przytem kapały z jasnych ocząt, bo widział ile jest boleści polskiemu ludowi pod niewolą Szweda.

Bartłomiej nasadzał już ostatnie koło, gdy naraz kopyta końskie zatętniały we wiosce. Trudno się jeszcze było zmiarkować zkąd kto jedzie i w siła koni, gdy oto na Bartoszowym dziedzińcu stanęło dwóch jeźdźców.

— W imię Ojca i Syna — szepnął Bartłomiej i zrobił krzyż święty, bo w pomroku nocnym zdało mu się, że to Szwedy niedowiarki przybyli na rabunek. Aleć przygląda się

lepiej, nie szwedzkie na wojakach odzienia; a gdy bliżej podeszedł, a owi zsiedli z koni, więc poznał żywo dworzanów od starosty z Babimostów.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitali dworzanie uchylając czapek.

— Na wieki wieków! — odrzekł Bartosz radośnie kłaniając się do kolan — Cóż tu wielmożni panowie o tak późnej porze?

A starszy rzeknie na to:

— My tu do was Bartoszu, od pana starosty! —

Więc radość wystąpiła na twarz Bartłomieja, bo starosta Żegocki z Babimostów, to pan bardzo dobry i wspaniały, a ziemię swą nadewszystko miłujący. I sprawiedliwość wielka u tego pana, więc jeśli on co każe, to pewnie z Bożą wolą. Uradował się więc Bartosz i prosi dworzanów do izby, ale ci się wymawiają i dziękują, bo nie ma czasu na stracenie.

— Pamięta wam dobrze pan starosta — odezwie się znowu starszy dworzanin — jakoście szli z gromadą bronić jego mienia, gdy Szwed ogień zarzucił między gumna i stodoły; nie zapomni wam też nigdy jakoście go na łowach ustrzegli przed dzikiem...

— Ot, Boże zrządzenie i jego święta wola! — rzekł Bartłomiej chylając głowę pokornie.

A dworzanin położył rękę na ramieniu Bartosza i rzekł:

— Ale pan starosta widzi ztąd, że macie chętne serce dla niego, i tusząc że zawsze liczyć na was może, prosi też byście i tą razą byli mu pomocnemi w czemś, co na chwałę Bożą uczynić zamierza.

— Jestem zawsze wierny poddany pana starosty, i wszystko uczynię co on każe — odezwał się Bartosz.

Więc dworzanin oglądnąwszy się po podwórku, czy prócz nich trzech nikogo więcej nie ma, pyta:

— Czy jedziecie jutro ze sosnami do zamku? —

— Ha, kazali, to muszę jechać — rzeknie Bartosz.

— Otóż, nie wielka to rzecz co macie zrobić — ciągnął dalej dworzanin — pan starosta chce tylko, żeby wam się co zepsuło na zwodzonym moście zamkowym....

Bartłomiej wypatrzył się w zdziwieniu na mówiącego.

— No, żeby wam koło spadło, albo sforzeń zginął... toć mię rozumiecie! Bo jak się drzewo z wozu stoczy, to będzie siła zachodu z powtórnem ładowaniem...

— A do czegóż to panu staroście zdać się może? — pyta Bartłomiej.

A dworzanin na to:

— Tego ja wam już powiedzieć nie mogę; wiem jeno że to nie będzie z miłości do Szwedów, a wy wiecie jako ludzie mówią, że *sztuką wilki tłuką.*

To rzekłszy dosiedli dworzanie koni, a starszy odezwał się jeszcze:

— Więc zrobicie, tak jak chce pan starosta?

— A jużci zrobię, bo wiem, że tego na dobre wielmożnym panom trzeba — odrzekł Bartosz kłaniając się odjeżdżającym.

Zatętniało więc znowu przez wieś, a potem była już grobowa cisza, bo i noc też późna, więc Bartłomiej zwrócił się do chaty, gdzie jego kobieta i dzieci spały, a łuczywo dogorywało na kominie. Wygasił ogień i sam się położył, ale nie zaraz mógł zasnąć, bo zwykła ciekawość ludzka odbierała mu sen na chwilę. Myślał sobie Bartosz, do czego pan starosta Żegocki potrzebuje, żeby mnie się niby popsuł wóz na zamkowym moście, lecz nic nie wymyślawszy obrócił się na drugi bok i zasnął.

Na drugi dzień później niż zwykle zerwał się Bartosz z pościeli. Biało już było na świecie; nocą śnieżek przeprószył, po zmarzniętej grudzie więc ponowa śliczna, a mróz przytem zwolniał. Ulicą pod sad Bartłomiejów ciągnął się jeden wóz za drugim ku lasowi; Szwed nakazał zwozić sosny do zamku, i całą wieś pędzi do tej wymuszonej roboty. Zawinął się też i Bartłomiej, zaprzągł zbiedzone konięta do wozu, i wyruszył za drugimi, ostatni.

Niebo było czyste, i słonko jasne toczyło się po niem, a w promieniach słonka świecił las jakby srebrny, bo świeży śnieg osiadł po szczytach i gałęziach sosen. Ponad lasem przelatywała czarna chmura wron przeraźliwie kracząc, a i one, choć wrony miały złote piórka, bo je słonko całowało po sze-

rokich skrzydłach. Bartłomiej szedł koło wozu i mówił litanję do Najświętszej Panny, a od czasu do czasu zawinął batem nad konikami i westchnął sobie żałośnie.

Droga prowadziła popod Kościański zamek; Bartosz siadł na wóz i raźniej popędza koniki, bo już inni o kilka stajań przed nim się toczą, więc mógłby kto z zamku jeszcze nań nakrzyczeć. I tak jadąc patrzy w zamkową bramę i na wieże słońcem oświecone, i myśli sobie:

— Mój Boże, czy to sprawiedliwość, żeby Szwed siedział w naszem gnieździe, i żeby nami rządził jak on wilk owcami?

I ledwie sobie to pomyślał, aż go mrowie po kościach przeszło, bo oto w zamku skrzypnęło coś strasznie i zabrzęczało, i z wielkim hukiem spuścili zwodzony most na zamkowe wały. I myślał Bartosz, że go już za te myśli lecą Szwedy zabijać, taka wielka mnogość ludzi ukazała się na moście, a co najprzedniejszych oficerów i komendantów. Ale tym ani w głowie nie był Bartosz, bo im dobrze w zamku, picia i jedzenia po pas, więc chcą użyć ponowy i jadą na polowanie. Łatwo to poznać, bo wszyscy z fuzjami przez plecy, a na przedzie sam pan główny komendant, landgraf, Frydryk imieniem, co ze siostrą samego króla ożeniony. A koło landgrafa strzelec suto ubrany z wielką sforą psów, a inny strzelec wygrywa na trąbce wesołe hejnały, i tak wszyscy śród śmiechu i gwaru suną na polowanie do Kościańskich lasów.

Bartłomiej zapatrzył się na panów Szwedów, zdjął czapkę pokornie, i zjechał na sam krawędź drogi, żeby im tylko zrobić miejsce. A owi przejeżdżając koło Bartosza śmieją się z jego koników i z fury, niejeden go z żartu batożkiem po plecach uderzy, inny podcina konięta, a inny przejeżdżając nad uchem mu gra z trąbki. Poczciwy Bartosz aż się kurczył i pocił, a skoro przejechali to oglądnął się ostrożnie za nimi, a potem czapkę na bakier zasadziwszy, splunął i mruknął:

— Poczekajcie Szwedy swawolniki! Chybaby już Pana Boga w niebie nie było, żeby was za naszą biedę nie pokarał!

A potem zdało mu się spoglądnąć przed siebie na las szarzejący, i widział tam jakiegoś na koniu, co sobie stał chwileczkę i niby uważnie patrzał za Szwedami, ale nie minęło

ze dwa Zdrowaś Marja, obrócił nagle konia i popędził w las. Nie wiedział dobrze Bartosz coby to był za jeden ten jeździec, ale mu się coś tak zdawało, jak gdyby to był on młodszy dworzanin, z tych co w nocy u niego byli, i przypomniała mu się obietnica jaką im dał wtedy. Więc podumał Bartosz, żeby się zdało spieszyć, a tak zaciąwszy konięta zbliżał się coraz bardziej do lasu.

Tymczasem panowie Szwedy pojechali sobie w przeciwną stronę, a za nimi znowu zgrzytło i zabrzęczało w zamku, i most zwodzony podniósł się do góry. Takich mostów zwodzonych dziś już nie używają, ale pierwej to one były po wszystkich zamkach i grodach. A były one dlatego, żeby w razie napadu utrudnić nieprzyjacielowi przystęp; bo skoro most był podniesiony, a głęboki rów na około zamku, toś wtedy długo mógł chodzić jak niedźwiedź koło barci nie wiedząc zkąd się brać do zdobywania. Jeźli zaś do zamku lub z zamku wypuszczali swoich, to wtedy rzucali na łańcuchach most przez oną fosę i była droga wygodna. Bartosz myślał sobie o tym moście jadąc, i coś niby zaczął się domyślać, na co by mogła być przydatna prośba pana starosty. Z tem wjechał do lasu za innymi, a że sosny leżały już przygotowane, więc żywo szła robota z ładowaniem ich na fury.

Różne tam były narzekania i lamenty między gospodarzami. Przeklinali Szwedów i wydziwiali na nich, ale cóż? musiał jeden z drugim słuchać, bo kto nie chciał słuchać, to go Szwed bił i katował, albo i powiesił na pierwszej lepszej gałęzi. Ot, i teraz muszą zwozić sosny i ciężko pracować, bo Szwed kazał bić ostrokoły w krąg całego zamku, żeby był trudniejszym do zdobycia.

Bartosz nie mieszał się do tych lamentów, jeno ładował czemprędzej swoją sosnę na furę i ruszył z powrotem, przypomniawszy sobie na dane przyrzeczenie. Jedzie więc i podcina konięta, a przed nim dopiero trzy fury co pilniejsze; a gdy już był blisko zamku zdało mu się obejrzeć pod las, i znowu w tem samem miejscu co poprzód ujrzał jeźdzca, a teraz już na pewne go poznał jako dworzanina pana starosty Żegockiego. Stoi jak mur i patrzy ku zamkowi, a niby za Bartoszem; więc

Bartosz przeżegnał się w imię Boga i pociągnął na zamek, kędy już most zwodzony spuszczono, bo fury zaczęły iść z lasu. A przy moście stały Szwedy na warcie, bo jak tylko fur nie było, to oni zaraz dla bezpieczeństwa most podnosili do góry.

Machnął Bartosz batogiem i wjechał także na most; a skoro był już w połowie, sięgnął ręką do wozu i wyciągnął sforzeń; potem machnął jeszcze raz batem, koniki poszły naprzód z przedniemi kołami, a reszta wozu się przewaliła i sosna legła na moście. Bartosz zaląkł się niby okropnie, a Szwedy z krzykami i groźbami przyskoczyli do wozu i zaczęli naprawiać razem z Bartłomiejem, żeby tylko czemprędzej zawlec sosnę do zamku. Aleć nie minęło i jedno Zdrowaś Marja, wrzasnęło coś ogromnie z pod lasu. Oglądają się Szwedzi, ogląda się Bartłomiej, a tu cała gromada polskiej szlachty z dobytemi szablami leci obces na zamek co tylko koń wyskoczy, a na przedzie pan starosta Żegocki. Szwedzi widząc, że mostu podnieść nie mogą, bo na nim wóz, konie, sosna i Bartłomiej, a nasi jeno chwilkę i w zamku — potracili biedacy głowy i uciekali do miasta. A w Bartoszu na ten widok zakipiała krew w żyłach; przypomniał sobie jak go Szwedy jeszcze godzinę przedtem znieważali, więc skoczył, wyrwał kłonicę od wozu.... a tuż za nim zatętniał most pod naszymi... Polecieli jak chmura gradowa, a Szwedy klękali przed nimi i prosili o łaskę, a Bartosz nie jednego tam pomacał kłonicą po łbie. Za godzinę znowu było cicho w zamku i w mieście: most zwiedziony jak zwykle i wszystko na swojem miejscu.

Tymczasem pan landgraf Frydryk razem z przedniejszymi Szwedami poluje sobie w kniei i radość tam wielka. A gdy już słonko miało się ku zachodowi, ozwały się trąbki od przeciwnych lasów, a nasi wymknęli się przez miasto, żeby ich powitać. Pan landgraf zbliża się pod zamek, i dziwno mu, że jeszcze mostu nie spuszczają: a tu z boku wypadają panowie szlachta i dalejże rąbać Szwedów.

— Stójcie, landgrafa żywcem, bo to wielki ptaszek! — woła jeden.

— Dobrze, tego żywcem — powtarzają inni i rzucają się na landgrafa, ale on dobył szpady i dalejże się bronić; więc z naszych kilku niewiedzących co to za jeden dali ognia, i upadł koń i landgraf razem. Koń zabity na miejscu, a landgraf śmiertelnie ranny w kilka godzin skonał. Szwedzi widząc, że ich pan, szwagier królewski już na ziemi, dalejże dopiero w nogi gdzie kto mógł, i na tem się skończyło.

Dopieroż radość była wielka na zamku i w mieście Kościanie. Wszystko się cieszyło a zbroiło i wraz gotowało do bójki, jeżliby Szwed chciał znowu napadać. A pan starosta z Babimostów uradowany bardzo chwali jednych a rozdaje nagrody drugim, i każe także Bartosza wołać przed siebie. Idzie Bartłomiej przed starostę i kłania się mu do nóg, a pan starosta publicznie mu dziękuje mówiąc:

— Walnie się popisałeś mój Bartoszu! Wykurzyliśmy Szwedów z zamku niby lisów z nory, a to co zostało, to już nam służyć musi, nie zaś my im. Wykurzyliśmy ich za twoją pomocą Bartoszu, a tyś się przytem poszkodował boś sforzeń zgubił na wieki. Otóż, wypada ci pomódz, żebyś sobie inny sforzeń sprawił, więc nato daje ci w dożywocie folwark, coś go to bronił od ognia przez Szwedów podrzuconego...

Jeszcze pan starosta nie skończył, a Bartłomiej upadł mu do nóg dziękując, a przytomni panowie uśmiechali się, i bardzo temu byli radzi i uciecha była powszechna.

I miała być z czego uciecha, bo na dobitek szczęścia przyjechali gońce z wiadomością, że Jąsna Góra za przyczyną Przeczystej Panienki od Szwedów obroniona, i że w Nowym Sączu górale het wyrznęli tych wrogów niedowiarków. Błysnęła więc nadzieja na całą Polską Ziemię, a dał w końcu litościwy Pan Bóg że się i spełniła, choć jeszcze dużo krwi z obu stron pociekło.

Grześ z Mogiły.

Piękne przykłady.

O tegorocznej kolędzie,

list Wojciecha z pod Opatowca do Grzesia z Mogiły.

Chociaż na list pisany do was, w którym to donosiłem wam o Obrzynku w Siedliszowicach nie odebrałem odpowiedzi, jednak mimo tego taka mię jakaś miłość ku wam ciągnie, że znowu muszę wam mój miły Grzegorzu o tegorocznej kolędzie z naszego Nadwiśla donieść.

Wiem ja, że tam i koło waszego kochanego Krakowa po kolędzie chodzą, bo to już taki zwyczaj od wieków w całej naszej Polsce. Żaden też naród nie ma na uczczenie nowonarodzonego Pana Jezusa tyle pieśni, jak my Polacy. Niech-no się pochwalą Niemcy, Francuzi, Włosi, a choćby i same Hiszpany z takiemi kantyczkami jak nasze! a o Moskalach, to wam już nie wspominam, bo oni także kolędują, ale chyba na pałce, albo na bacie. Boże, pożal się naszych braci w Warszawie, bo ot kościoły ich z przyczyny Moskali i przez święta były zamknięte, ale sobie za to tem serdeczniej w domach kolędowali. Tak, polskie są tylko kantyczki; jabym też ich nie odstąpił, niechby mi kto i cały świat za nie dawał, chociaż nie chwalący się wszystkie kolędy mam w głowie.

Dzięki Bogu za te święta Bożego Narodzenia, bo to przecie wśród zimy aż lżej, gdy się człowiek doczeka Pasterskiej Mszy świętej, gdy od wioski do wioski rozlegają się kolędy; a choćbyś i jak jeszcze słodko zasnął, to gdy ci zabłyśnie gwiazda przed oknem, a kolędnicy hukną serdecznie: — A śpisz Kuba, Bartek, Maciek i ty stary Stachu, nie śpijże tak, obudźże się od wielkiego strachu! — musisz wstać, łuczywo zapalić i gości do domu przyjąć.

Jednak muszę powiedzieć wam mój Grzegorzu, że grzeszni ludzie i świętej sprawy nie wstydzą się na złe użyć; jednak złemu zawsze musi przyjść na koniec, a sprawa święta

choć na chwilę przyćmiona, musi znowu świętą zabłysnąć światłością.

Tak to bywało i z onemi kolędami u nas. Zbierali się i u nas co rok na kolędę, ale kto? ot, aż wstyd wymówić sami pijacy, co wyłgany grosz, albo garść zboża od ludzi, zanieśli do karczmy, tam przepili, a nakoniec powadzili się, albo jeszcze co gorszego. Tak bywało, ale dzięki Bogu, już tak nie jest; bo i lud nasz nie uparty, gdy mu kto złe wytknie, a pokaże lepszą drogę, powraca i staje na drodze cnoty.

Otóż i w naszej parafii zakazano ludziom dorosłym chodzić po kolędzie, a pozwolono dzieciom szkolnym, i słusznie, bo to przecie pastuszkowie posłani byli od Anioła najpierwsi do nowonarodzonego Pana Jezusa, dzieciom też tylko przystoi, aby teraz kolędując roznosiły od domu do domu tę wesołą nowinę przyjścia na świat Zbawiciela naszego. A kiedy i człek wie, że to co dzieci za kolędę dostaną, na złe nie będzie obrócone, to też i chętniej poda czy grosz jaki, czy garść zboża.

Miło nam też było tego roku powitać naszych małych kolędników z szopką z Gręboszowskiej szkoły, bośmy czytali napis na onej szopce: „Na Czytelnię ludowi.“ A! pomyślałem sobie, to już co innego, to sprawa święta, dla nas bardzo dogodna, takiej i Bóg pobłogosławi, za kolędę nakupić książek pożytecznych i różne inne pisma jakie teraz drukują, a czytać jak człek czasu dopadnie, aby przecie wiedział coś o tym Bożym świecie, a nie tylko na to patrzał co się koło jego domu albo we wsi dzieje.

Pocieszyły się też biedne dzieciska nie lada, już to nie tyle w naszych biednych domach, ale prawie we wszystkich okolicznych dworach. Wszędzie im bardzo byli radzi, ale bo też i szopkę mieli nie lada jaką i lalki jakby żywe. Najświętszą Pannę z świętym Józefem i dzieciątkiem Jezus, to aż z Krakowa zakupili, prześlicznie ubrane. Byłci i Krakowiak z Krakowianką z krakowskiej ziemi rodem. Jużci takiego nigdziebyś nie dostał, jak w samym Krakowie, niby rodzoniusieńki wasz brat mój Grzesiu. Ferezja lita, sto kółek u pasa, krakuska na bakier, ale też pokłoniwszy się Najświętszej ro-

dzinie w szopce, krzesał w podkówki, jakby żywy Krakus za czasów Kościuszki. Ale też i onemu dziadkowi co to na ostatku wychodził, opłaciło się nie byle jako. Dzieciska też chyba już nigdy tego nie zapomną jak je serdecznie przyjmowali państwo w Mędrzychowie, w Bolesławiu, w Siedliszowicach, w Żelichowie, w Lubiczku, w Demblinie; a jak wam ze dwora w Kłyżu wrócili, to już nie wiedzieli od radości jak to wszystko opowiadać, zkąd zacząć i na czem skończyć.

Niech tam Pan Bóg wynagrodzi temu państwu, co im nasze dzieci tak miłemi były. Nazbierali też grosza sporo i ziarna po wsiach, za co już Dzwonek, Gwiazdkę Cieszyńską i Przyjaciela Domowego zakupili, i inne jeszcze książki mają zakupić; a co więcej jeszcze sprawią, to wam znowu kiedyś póżniej mój Grzegorzu doniosę. A teraz wam życzę ażeby i u was i wszędy tak kolędowali, bo tylko z takiej kolędy Pan Jezus się cieszy w niebie.

Ale byłbym zapomniał, a i toby było niesprawiedliwie, bo znajomy wam wójt z Borusowy Józef Wcisło, sam poczciwiec z szkolnemi dziećmi Borusowskiemi obszedł po swojej wsi po kolędzie, ale też i dzieci śpiewałyby wam bez końca, tyle je kolęd wyuczył. Zebrał też i on trochę ziarna, i zaraz za to zakupił Dzwonek i inne książki dla dzieci do nauki.

Na zakończenie jeszcze słówko. Słyszałem, że w starym Krakowie mają naprawiać nagrobek naszego króla Każmierza Wielkiego. A któż się do tego powinien najbardziej przyczyniać, jeżeli nie my chłopi? Wszak to król chłopków był, nasz największy opiekun, nasz ojciec. Więc też lud polskiej Ziemi powinien pokazać światu, że i po pięćset latach kocha swego króla Każmierza; powinniśmy pokazać, żeśmy mu wdzięczni za to, co on naszym ojcom świadczył. Bóg z wami mój Grzegorzu.

Wojciech z pod Opatowca.

RÓŻNOŚCI.

Włóczęga. Chodzą tacy ludzie po świecie, co to nie można powiedzieć że o żebranym chlebie, ale przecie nie za uczciwą pracą ani za zarobkiem. Otóż taki człowiek, niewiedzieć zkąd i za czem, od wsi do wsi chodzący, oszukaństwem tylko żyje. Jeden chodzi i udaje mądrego doktora, a może czytać nie umie; drugi powiada że zna prawa doskonale, namawia do procesów i chwali się jak jego pan Starosta lubi, a może go niedawno z kryminału wypuścili; i wiele innych rzeczy udają i rozpowiadają, bo takim darmojadom i oszukańcom na pomysłach nie braknie, ale też na nieszczęście znajdą się zawsze głupcy, których oni w pole wywiedą, wyłudzą kieliszek wódki lub co grosza z kieszeni,, i jeszcze się potem naśmiewają. Posłuchajcie jak jeden taki włóczęga rozmawiał się z wyrobnikiem ze wsi, która się nazywa Dziewa, kiedy go do Warszawy z rakami na targ jadącego napotkał:

— Niech będzie pochwalony, zawołał włóczęga.

— Na wieki odpowiedział chłopek.

— A zkądeście wy?

— A z Dziewy.

— A gdzie to jedziecie?

— Do Warszawy.

— Boże łaskawy! I cóż to wieziecie?

— Raczki.

— Dajcież tabaczki. — Jaka też to tabaczka?

— Lewandowa.

— Dla tego taka zdrowa. Co też kosztuje?

— Czeski.

— Ojcze mój niebieski! jak to tanio. Więceście wy z Dziewy i wieziecie raczki?

— A raczki.

— To dajcież tabaczki. A gdzieście ją kupili?

— U Jacka.

— Sliczna tabaczka. Tośmy wy to z Dziewy! A gdzie tam wasza chałupa?

— Na rogu.

— Chwała Panu Bogu! No, teraz jedźcie sobie z Bogiem, bo już ani na jeden niuch tabaki nie macie.

Dopiero poznał wyrobnik, że ów włóczęga tylko kpiny sobie z niego robił aby tabaki dostać, i już mu chciał porządnie za to zapłacić, ale ten już był daleko.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.